

euforia



K.P.
12.04.13

Andrzej Astachow "Dźwięk jego skrzypiec"

Fahrenheit Crew

Przez chwilę wydało mu się, że ONO nie zniknęło i nadal stoi obok, wyciągając do niego brzydkie, szponiaste łapy. A potem uzmysłowił sobie, że to tylko cień ramy okiennej na ścianie. Z ulgą opadł na poduszkę, wsłuchując się, jak serce wraca do normalnego rytmu.

- Co się dzieje? - W głosie zaspanej żony dźwięczało niezadowolenie.

- Śpij, Taniu, śpij, coś mi się przyśniło... Śpij...

Żona westchnęła, odwróciła się na drugi bok. Jeszcze chwilę przyglądał się czarnemu, podobnemu do krzyża cieniowi na ścianie, a potem wstał i zaczął się ubierać.

W kuchni zapalił papierosa, łapczywie wciągnął pachnący pleśnią dym i wyrzwał przez okno. Na podwórzu było cicho. W mieście czekały psy, a potem dobiegły go dalekie wystrzały. Życie toczyło się utartym rytmem - oddziały samoobrony wykonywały swe zadania. Najzwyklejsza noc. Tylko sen był niezwykły.

- Nie możesz spać? - Żona, poprawiając ramiączka starej nocnej koszuli, weszła do kuchni. - Co, znowu serce?

- Nie, kochana, wszystko w porządku - odpowiedział, zgniatając w popielniczce niedopałek. Popatrzył na zegarek: było po czwartej. Dziwnie, ale przez ostatnie dwa miesiące często budził się właśnie o tej porze.

- Chodź, prześpij się jeszcze - powiedziała żona.

- Nie chce mi się.

- Zagotować wodę?

- Nie trzeba. Idź się położyć. Posiedzę jeszcze trochę.

- Jak chcesz. - Kobieta dotknęła wargami jego policzka i wróciła do sypialni. Znowu wyrzwał przez okno, przysłuchiwał się dźwiękom z ulicy. Cicho. Znowu oblał go zimny pot.

Wypalił jeszcze jednego papierosa, starając się wypuszczać śmierdzący dym przez okno, potem na palcach przeszedł do sypialni i nadśluchiwał. Żona spała. Wytarł spocone dłonie o nogawki, skradając się, przeszedł do salonu i podszedł do szafy. Drzwi lekko skrzypnęły, ale udało mu się otworzyć je prawie bezdźwięcznie. Wyjął futerał z instrumentem, znowu na palcach przeszedł do przedpokoju, szybko naciągnął na siebie sweter i sztormiak. Włożył półbuty, wsunął do kieszeni zapalki, latarkę i napoczętą paczkę papierosów. Zamykając za sobą drzwi, wyszedł z domu. Nie wiedział, dokąd ma iść, ale jednego był pewien - wszystko ma swój początek w skrzypcach, i nie zazna spokoju, póki nie rozwiąże ich tajemnicy.

Formalnie naruszył prawo - przecież w myśl przepisów był maruderem. Ale, prawdę mówiąc, nikt i nigdy go nie zaczepiał, podobnie jak innych poszukiwaczy, których w mieście nazywano „grzybiarzami”. Wojskowe patrole i ochotnicy z oddziałów samoobrony zwykle nie zwracały uwagi na

ludzi z wielkimi plecakami, którzy jeszcze przed świtem pojawiali się na ulicach, śpiesząc, by znaleźć coś cennego, przed swoimi kolegami po fachu. Nie z dobroci serca – władze rozumiały, że ludzie muszą z czegoś żyć. A do tego „grzybiarze” dzielili się z wojskowymi – wszyscy o tym wiedzieli. I on się dzielił. Było to gwarancją spokoju i bezpieczeństwa.

Skrzypce znalazł w zburzonym domu na przedmieściu, który musiał być bogato wyposażony, zanim pożar zniszczył znaczną jego część. Leżały w piwnicy, w wielkim, metalowym sejfie. Kiedy go otwierał, trzęsły mu się ręce. Myślał, że będzie tam coś rzeczywiście wartościowego – broń, bezcenne leki, złoto. Nic podobnego. Tylko instrument w hermetycznym futerale z ciemnego metalu i stary, zakurzony, koncertowy frak. Widocznie, gospodarz domu był muzykiem albo kimś w tym rodzaju. Rozczarowany znaleziskiem, otworzył futerał – skrzypce były pieczołowicie zawinięte w cienki czarny aksamit. Tabliczka po wewnętrznej stronie pokrywki informowała, że to Eurydyka, wykonana przez mistrza Antonia Stradivarię z Cremony w 1722 roku. Nigdy nie słyszał o takim mistrzu, zrozumiał tylko jedno – skrzypce były starodawną rzeczą. Być może znajdzie się ktoś, kto zechce je kupić.

Zezowaty Bińdziug, któremu zwykle przekazywał znalezione rzeczy, nie wziął instrumentu.

– A do czego one mi potrzebne? – powiedział. – Nawet na opał się nie nadają, chyba że na rozpalkę. Futeralek niczego sobie, może by się na coś przydał. Za wszystko dam szklankę maki.

– Nie – odpowiedział, ukrywając przed paserem wzrok. – Rozmyśliłem się.

W domu pokazał skrzypce Tani. Żona tylko wzruszyła ramionami.

– Piękne – powiedziała. – Chyba można je sprzedać.

– I właśnie w tym sęk, Bindziug ich nie chce – odpowiedział.

– Nie chce, to i diabeł z nim. Znajdziesz innego nabywcę.

Zgodził się z nią i na pewien czas skrzypce zostały zapomniane. A potem zaczęły się sny. Pierwszy zapamiętał szczególnie wyraźnie. Zdarzyło to się czwartej nocy po tym, jak przyniósł je do domu. Przyśniło mu się, że w mieście zjawiła się dziwna istota podobna do człowieka – jakby zlepek mroku. Chodziła ulicami i szukała swej skradzionej duszy. Zawsze spotykał tę istotę na swej drodze, a ona biegła za nim, aż zrywał się z łóżka, ciężko oddychając i czując przerażenie. Zaczął często budzić się przed świtem, jakby się bał, że znowu przyśni mu się ten koszmar.

Ostatni sen dał odpowiedź na męczące go pytanie – dlaczego? Tym razem nie tylko widział niewyraźną, czarną postać, prześladowającą go, ale słyszał jeszcze dźwięk – dziwny, tęskny, nieprzyjemny. Właśnie taki dźwięk wydawały skrzypce, kiedy próbował prowadzić po strunach smyczkiem. To wszystko z powodu skrzypiec. To one ściągały na niego koszmary. Trzeba się od nich uwolnić. Im szybciej, tym lepiej.

W tawernie było prawie pusto, tylko jakiś pijany chłop w łachmanach, chrapał w kącie, roztaczając smród zaskorupiałego potu i moczu. Kelnerka spojrzała na gościa nieprzychylnie.

– Nachlać się czy pożyć? – zapytała, wycierając szmatą obdarty, plastikowy stół.

– Ja do gospodarza – odpowiedział. – Chcę z nim porozmawiać.

– Jest u siebie, na górze. Znowu jakąś małąotę przywłókł. – Kelnerka splunęła na plastikowy blat i ze złością zaczęła wycierać go szmatą. – Wszyscy jesteście psami parszywymi, by was szlag trafił!

Wyszedł, nie chcąc słuchać rozgniewanej kobiety, obszedł budynek i po schodach pożarowych dostał się na piętro. Odszukał właściwe drzwi. Żeka – karczmarz – brzuchaty i podпиты, leżał na wielkim łóżku, rozrzuciwszy nogi w podartych skarpetkach. Obok spała, otuliwszy się kołdrą, trzynastoletnia dziewczynka.

– A-a-a, Siergiejewicz? – przeciągając się i szczerząc w uśmiechu, przywitał go karczmarz. – Poranek zajrzał przez okno i gość się zjawił w domu. Czego tak wcześniej?

– Witaj – odpowiedział, patrząc z dezaprobatą na śpiącą dziewczynkę. – Mam do ciebie sprawę. Chcę ci zaproponować towar.

– Co za towar?

– Ten – podał gospodarzowi futerał. – Skrzypce.

– Ho-ho! – Karczmarz podrapał się w owłosioną pierś pod masywnym krzyżem. – Prawdziwe skrzypce?

– Prawdziwe. Znalazłem. Prawdopodobnie mają dużą wartość.

– Lepiej byś znalazł fortepian – poważnie powiedział karczmarz, otworzywszy futerał i wzięwszy w ręce skrzypce. – Tam dużo drewna i dobrego metalu. A to... Co chcesz za nie?

– Wezmę, co dasz.

Karczmarz oparł skrzypce o ramię, przycisnął podbródkiem i przeprowadził smyczkiem po strunach. Wydały skrzypiący, długi jęk. Dziewczynka pod kołdrą poruszyła się, soczyście przeklęła i nakryła głowę poduszką. Karczmarz zarżał.

– Dobra sztuka, można szczury i kurwy odpędzać – powiedział. – Nie potrzebuję tego, Siergiejewiczu. Rupień. Po starej przyjaźni mogę ci za nie szklanek siwuchy nalać. Nie gniewaj się.

– Nic się nie stało, rozumiem.

– A ty się naucz na nich grać – powiedział karczmarz z poważną miną. – Będiesz w mojej tawernie zagrywać. Muzyka dobrze wpływa na gości. Mówię poważnie.

– Więc nie kupisz?

– Nie, wybacz. – Włożył skrzypce do futerału i zatrzasnął wieko. – Zabieraj swoją mandolinę. Będziesz mieć coś wartościowego, przychodź, a drobiazgami lepiej nie zwracaj głowy. Nie mam na to czasu.

Wyszedł z domu, przyciskając do siebie futerał z przeklętymi skrzypcami i przez pewien czas stał w jakimś dziwnym odrętwieniu. Nagle zapragnął wyjąć instrument i trzasnąć nim jak najmocniej o ścianę, by rozsypał się na kawałki.

Otworzył futerał, wzięł skrzypce za gryf i nagle doświadczył uczucia podobnego do litości. Poranne słońce ciepło odbiło się pięknymi, złocistymi refleksami od lakierowego drewna instrumentu i ten nikomu niepotrzebny kawałek drewna nagle wydał mu się żywą istotą. Uderzyć nią o kamień to tak, jakby zabić dziecko.

– Zwaliłyście się na moją głowę, przeklęte! – wyszeptał. – Po co ja polazłem do tego domu...?

Jeśli nie uwolni się od skrzypiec, sen powróci znów. I ONO wcześniej czy później dobierze się do niego.

Do domu z nimi nie wróci. Sprzedać prawdopodobnie też nie uda się. A zatem pozostaje tylko jedno. Było późne popołudnie, gdy dotarł do ruin. Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy był tu dwa miesiące temu. Drzwi wejściowe były otwarte – widocznie nikt po nim nie odwiedził tego domu.

Wszedł i rozejrzał się. Tak – wszystko takie samo, jak tamtego dnia. Dopiero teraz zrozumiał, jaki świetny dowcip spletała mu wtedy chciwość.

Był tak pewny, że w sejfie jest coś szczególnie cennego, że nawet nie pomyślał o zabraniu pozostałych rzeczy z tego pomieszczenia. A tu... O-o-o, jest tu na czym zarobić! Prawie nowe metalowe łóżko z siatką sprężynową, trzy drewniane krzesła, sekretarzyk. A w kącie... Mój ty Boże! Najprawdziwsze centrum muzyczne i to jeszcze jakie! A gdyby poszukać w tych szafach, może jeszcze...

- Dzień dobry! – rozległ się cichy i znużony męski głos.

Odwrócił się w jego kierunku tak gwałtownie, że omal nie upuścił skrzypiec.

Zobaczył staruszka, całkiem siwego, z długą brodą, ubranego w jakieś łachmany nieokreślonego koloru. Stał na dolnym stopniu schodów, trzymając w ręce naftową lampę i patrzył na gościa. Dziwne, ale w jego oczach odbijała się radość.

- Pewnie przyniosłeś je! – krzyknął uradowany. – To chyba ty otworzyłeś mój sejf?

- Ja... – Zrozumiał, że nie ma sensu kłamać. – Tak, otworzyłem go.

- Nic im się nie stało? Proszę cię, daj mi je!

Podał staruszkowi futerał. Ten, coś wykrzykując, otworzył go, chwycił skrzypce i głośno westchnął.

- Boże mój, jakie szczęście! – powiedział, i w jego oczach pojawiło się nieziemskie światło. – Dobrze, że nie ucierpiał. To cud, to po prostu... Nie, zaraz się rozpłaczę! Ani trochę się nie zmieniły! Kochane moje ślicznotki, przetrwały wszystkie te straszne chwile!

- Co takiego szczególnego jest w tych skrzypcach? – zapytał.

- Szczególnego? Mój kochany człowieku, przecież to Eurydyka! Jeden z twórców Antonia Stradivariiego, można powiedzieć, najdoskonalszy. Przez wszystkie lata myślałem o nich i najbardziej się bałem, że kiedy wrócę do domu, to... Ale teraz to już nieważne. Są całe. I to najważniejsze.

- Jesteś gospodarzem tego domu?

- Tak, proszę sobie wyobrazić! Dwadzieścia dwa lata temu wyjechałem na tournée, jeszcze nie wiedząc, co nas wszystkich czeka. Pojechaliśmy do Tajlandii. Mieliśmy występować przed samym królem tego kraju! Wtedy nie wziąłem Eurydyki, bojąc się, że wilgotny klimat może jej zaszkodzić. Miałem inne skrzypce, też bardzo dobre, Amatiego, i te zabrałem ze sobą. A potem, już na miejscu, dowiedziałem się o uderzeniach jądrowych, i o tym, że świat przestał istnieć. – Staruszek ostrożnie położył skrzypce na stole, wyciągnął skądś, spod łachmanów, pęcherzyk z tabletkami i wsunął jedną pod język. Ręce mu drżały. – Co było potem, lepiej nie wspominać. Prawie wszyscy zginęli, niektórzy z głodu, inni od radiacji lub chorób, niektórzy z rąk maruderów i bandytów. A ja przeżyłem i przez wszystkie te lata marzyłem, by wrócić do domu i je odnaleźć. Znalazłem i teraz mogę spokojnie

umrzeć.

- Tak po prostu przyszedłeś stamtąd... Pieszko?

- Proszę to sobie wyobrazić! Dwadzieścia dwa lata drogi. Zupełnie jak kiedyś przodkowie mojego narodu, na czele z Mojżeszem. Zarabiałem na życie, dając małe koncerty w osiedlach, póki nie zgubiłem tych innych skrzypiec podczas ucieczki przed szajką bandytów... Wiesz co? Drzę na samą myśl, że mogę teraz zagrać. A ciebie proszę, byś posłuchał, bardzo proszę. Nie występowałem od tak wielu lat przed publicznością! Proszę, przysiądź tam. Dziękuję.

Staruszek chwilę stał nieruchomo, a potem zrobił to, co jeszcze bardziej zdziwiło gościa. Podeszedł do uchylonego sejfu, otworzył drzwiczki i wydobyl ten sam zakurzony frak, który leżał ze skrzypcami. Rozprostował go, otrząsał z kurzu, włożył na swoje łańchmany i dopiero wtedy, ostrożnie wziął Eurydykę i smyczek. Dość długo stroił skrzypce i na twarzy miał wypisaną prawdziwą błogość.

- Powiedz - zapytał nagle, kiedy skończył zabiegi przy swoim skarbie - dlaczego zdecydowałeś się zwrócić mi je?

- Nie mogłem ich sprzedać.

- Szczerze mówiąc, nikomu dzisiaj nie są potrzebne skrzypce Stradivariego! Ale postąpiłem szlachetnie. Dziękuję ci. Odwdzięczę się. Mam trochę jedzenia, leki i odzież. Oddam wszystko, co tylko zechcesz. A teraz proszę, posłuchaj ich. Usłyszysz głos anioła, którego nie zdołały zabić nawet bomby wodorowe.

Jeszcze raz ciężko westchnął, podniósł smyczek i uroczystym głosem zapowiedział:

- Jan Sebastian Bach, aria „Erbarne mich, mein Gott“. Dedykuję miliardom poległych i tym, którzy przeżyli i nadal walczą.

Nad martwym światem dźwięczał płacz Eurydyki

Stary, wyczerpany muzyk grał dla siebie i dla wszystkich. Grał dla marudera, który zwrócił mu największy jego skarb tylko dlatego, że nie mógł go sprzedać i przestraszył się męczących, nocnych koszmarów. Grał dla tych, którzy nie słyszeli - dla rzeszy Ziemian, spoczywających pod osmalonymi ruinami miast zburzonych jądrowym płomieniem. Grał dla tych, którzy nigdy nie słyszeli dźwięku skrzypiec. Grał, ponieważ dla tego koncertu w piwnicy własnego spalonego domu siedł dwadzieścia dwa lata. Grał dlatego, że świat powinien znów usłyszeć dźwięki Eurydyki.

Usłyszeć i przypomnieć sobie, że życie mimo wszystko trwa!

Tłumaczenie: [Tadeusz Rubnikowicz](#)